

WIADOMOŚCI MISYJNE

INFORMATOR SEKRETARIATU MISYJNEGO
ZGROMADZENIA KSIĘŻY MISJONARZY

Nr 3 (21) 2011



DRODZY PRZYJACIELE MISJI!

Encyklika „Redemptoris Missio” uczy, iż celem działalności misyjnej jest: *zakładanie wspólnot chrześcijańskich i rozwijanie Kościołów aż do całkowitej dojrzałości. To jest główne, istotne zadanie działalności misyjnej, nie można uznać jej za spełnioną, dopóki nie doprowadzi ona do zbudowania Kościoła partykularnego, zdolnego do normalnego działania w miejscowym środowisku* (RMs 48). Jedni misjonarze pracują tam gdzie na pierwszy plan wysuwa się głoszenie Ewangelii tym, którzy jej jeszcze nie znają i zakładanie wspólnot chrześcijańskich, inni z kolei tam gdzie wysiłek koncentruje się nad doprowadzeniem już powstałych wspólnot chrześcijańskich do pełnej dojrzałości. Wspierając pracę jednych i drugich, wraz z nimi czynimy bliższym dzień w którym Pan będzie wszystkim we wszystkich i wszyscy ludzie utworzą jedną Bożą Rodzinę, w której wartości głoszone obecnie przez misjonarzy będą udziałem całej ludzkości.



Redakcja:

ks. Stanisław Deszcz CM

Agata Gruzia

kl. Jacek Międlar

Wydawca: Wydawnictwo Instytutu
Teologicznego Księży Misjonarzy
www.witkm.pl

Sekretariat Misyjny Zgromadzenia

Księża Misjonarzy

ul. Stradomska 4

31-058 Kraków

tel.: (12) 422 88 77 wew. 305

sekretariatmisyjny@misjonarze.pl

www.adgentes.misjonarze.pl

W jednym ze swoich dorocznych orędzi na Dzień Misyjny bł. Jan Paweł II napisał: *Misje okazują się wciąż jeszcze konieczne i nie do zastąpienia i to tak bardzo, że bez nich urzeczywistnienie zbawczego planu i rozszerzanie Królestwa Bożego aż po krańce ziemi jest w ogóle nie do pomyślenia.*

Madagaskar często jest obecny na łamach „Wiadomości Misyjnych”. Można powiedzieć, że misja malgaska jest nam wszystkim bardzo droga i bliska dzięki misjonarzom, którzy dzielą się z nami swoimi radościami, troskami, marzeniami, proszą o różnego rodzaju wsparcie.

Ks. Marek Maszkowski kolejny już raz przesyła nam relacje z wyjazdu do buszu. Dowiadujemy się z niej o codzienności misyjnej: posłudze, przeżywanych perypetiach, radościach, troskach związanych z trudami przemieszczania się, pogodą, biedą, entuzjazmem jednych, czy znów obojętnością innych.

Ponawiamy naszą prośbę, aby wesprzeć projekt zakupu motoru do łodzi, podstawowego środka lokomocji ks. Marka.

Ks. Janusz Zwoliński dzieli się z nami kolejną porcją refleksji nad pracą polskich misjonarzy w Kongo (dawnym Zairze). Tym razem możemy dowiedzieć się między innymi o drugiej odsłonie ludobójstwa w Rwandzie, która miała miejsce na terenie Zairu, a także na jakie niebezpieczeństwa wystawieni byli misjonarze podczas wojny 1996/1997.

Ks. Rafał Brukarczyk opowiada nam o swojej pracy misyjnej w Hondurasie w kontekście szerszego spojrzenia na Amerykę Łacińską, spadkobierczynię kultury Majów.

Niech Pan, który pragnie nas zgromadzić w jedną Bożą Rodzinę błogosławi wszystkim naszym przedsięwzięciom, które podejmujemy, aby wszyscy ludzie uwierzyli w zbawcze orędzie Jezusa Chrystusa.

*Ks. Stanisław Deszcz CM
Dyrektor Sekretariatu Misyjnego*

„DZIEL SWÓJ CHLEB ZE ZGŁODNIAŁYM...”

Manantenina, 9.02.2011 r.

Drodzy Przyjaciele Misji. Z misjonarskimi pozdrowieniami dla wszystkich czytelników „Wiadomości Misyjnych” przesyłam kolejną relację z ostatniej „wyprawy” do buszu.

Sobota, 29 stycznia 2011. W południe, zaraz po wypłaceniu pensji dla naszych nauczycieli (bagatela 59 osób), załadowany blachą, drzwiami, oknami i farbą, ruszam motorówką do Apasimena, 25 kilometrów w górę rzeki Manampanihy. Przed Ankaria zaczyna padać. Zmoknięty, przybijam do brzegu wioski. Będę nocował. Wspinając się pod górę do kaplicy, mówię dzieciom i tym, których spotykam po drodze, że wieczorem będzie Msza św. Mieszkańcy zaskoczeni, ale frekwencja wieczorem niezła. Nauczyciel mieszka w drugiej wiosce. Już ktoś pobiegł go zawiadomić. W kaplicy-szkole malgaski bałagan. Próbuje z dziećmi-



kami zapanować nad sytuacją. Dwie ławki całkowicie w kawałkach. Pytam czy mają młotek. Ku wielkiemu zdziwieniu znalazł się młotek i piła, to wielka rzadkość w buszu. Mam ze sobą trochę gwoździ, zabieramy się za naprawę. Wieczorem pojawia się nauczyciel z moskitierą (na szczęście), komary tną, o spaniu nie byłoby co marzyć, a kilkanaście ucięć komarów może uaktywnić malarię, którą nosi się w sobie.

Niedziela. Po Mszy św. ruszam w drogę. Woda wezbrała. Młode małżeństwo z trojgiem dzieci prosi o podwiezienie kilometr w górę rzeki. Dom ich jest odcięty małym dorzeczem, ale teraz to duża woda. Płyniemy, nurt coraz silniejszy. Po drodze mijamy krzaki, drzewa dryfujące z prądem. Gdy zostaję sam, lędzę się, że motorówka jest trochę lżejsza i popłynę w górę. Pojawiają się wiry wodne, czuję, że woda szybko się podnosi. Motor do dechy, czy wytrzyma po tych już 15 latach służby? Chwilami mam wrażenie, że się cofam, spływam. Zatrzymuję się, trzeba przeczekać. Do Ampasimena jeszcze pięć kilometrów. Po nadbrzeżnych krzakach i zaroślach widzę, że woda w ciągu pół godziny podniosła się o jeden metr. Co robić? Chwila rozmowy z dwoma Malgaszami. Twierdzą, że nie ma nadziei, aby do jutra woda opadła. Deszcz nie ustaje. Próbuję jeszcze raz. Motor wyje, a ja po centymetrze posuwam się w górę. Nie ma szans na wygranie z żywiołem, benzyny też może zabraknąć. Wracam do Manantenina. Po drodze w Ankaria z dziećmi wyładowuję łódkę. Wieczorem jestem w chałupie. Spośród 40 kaplic filialnych parafii św. Józefa w Manantenina, 15 jest położonych wzdłuż rzeki Manampanihy. Łódź motorowa jest najłatwiejszym środkiem gwarantującym dostęp z posługą duszpasterską do tych kaplic, rozsianych na przestrzeni 40 km. Obecna łódź motorowa przez 15 lat dzielnie służyła Misji w transporcie chorych, ludzi, żywności, materiałów budowlanych i szkolnych. Motorówka już wielokrotnie była remontowana i naprawiana. Niestety coraz częściej pojawiają się problemy z uruchomieniem motoru, a i w czasie podróży czasami motor odmówił posłuszeństwa. Kilkakrotnie nie udało się zrealizować zapowiedzianego programu. Razem z ks. Józefem i ks. Michelem – młodym konfratrem Malgaszem, po prostu marzymy o nowym motorze, który ułatwiłby nam posługę.

Poniedziałek – deszcz wciąż pada. Wykorzystujemy ten czas na spotkanie robocze z siostrami szarytkami (cztery Malgaszki), ustalenie programów, katechezy, wyjazdów do buszu oraz świąt...

Wtorek. Piękne słońce. O 9.00 ruszam do boju. Tym razem motorem. Motor zostawiam w Marindaza (kilometr od Apasimena), dalej można iść tylko na piechotę. Słońce pali niemiłosiernie. Potem przeprawa na drugą stronę Manampanihy łódką wydrążoną z pnia drzewa (tylko takie tu istnieją). Przede mną trzy godziny z różańcem, wzdłuż pasma gór. Sporo ostrych podejść, małych rzeczek, strumyków i błota. Na szczęście wody już spłynęły. Ks. Józef woli inną drogę. Niestety trzeba dwa razy przeprowiać się przez Manampanihy, problem ze znalezieniem łódki. Nie mam wyboru. Droga dla turystów, „pstrykaczy” zdjęć, cudowna. Dla nas po tylu latach to codzienna rzeczywistość. Przy Andasibe (wioska w której będę się modlił), też rzeka, już z daleka trąbię (lekką trąbką z Polski). Usłyszeli mnie, idą po łódkę. Korzystam z chwili by się wykapać, splukać zmęczenie i pot. Piorę koszulę i czapkę, spodni nie trzeba, przecież w nich się wykapałem, zanim dojdę do kaplicy będą suche. Mieszkańcy trochę zdziwieni, że mimo dużej wody dotarłem do nich, czuję się trochę dowartościowany. Za chwilę pierwszy dzwon, proszę o kawę by oszukać zmęczenie i być w lepszej formie. Przychodzą pierwsi penitenci. Około 40-tu



skorzystało ze spowiedzi. Ten region znam jeszcze z poprzedniej parafii w Ranomafana, skąd przez cztery lata regularnie tutaj przychodziłem. Od trzech lat Andasibe należy do Manantenina. Widzę, że Kościół się rozwija, ilość modlących się osób wzrosła, zwłaszcza dorosłych i młodzieży. Nie jest źle. Po Mszy św. składamy sobie jeszcze życzenia noworoczne. Dostają kurę i ryż. Zapraszam trzech nauczycieli na wspólny obiad na jutro. Chętnie przystają.

Środa. Sprawdzanie nauki, katechizmu dzieci (pięć klas a w nich 127 uczniów), wypłata dla nauczycieli, są wdzięczni, nie musieli iść 40 km do Manantenina. Odwiedzam wioskę, a tu panika – oczywiście nie z mojego powodu – ktoś rozpowiedział, że przyszli żandarmi z Esira i są w Andaza, cztery wioski od nas. Rodzice błyskawicznie zabierają dzieci ze szkoły. W ciągu kilku chwil wioska prawie wyludnia się. Uciekinierzy znikają w okolicznych górskich lasach. Pozostają najodważniejsi. Pytam: *Kiedy wrócą? – Jak żandarmi odejdą*, odpowiada nauczyciel. To jedyny sposób ratowania się przed sprawiedliwością państwową. Sądy, trybunały, urzędy to tylko ironia sprawiedliwości i strata pieniędzy. Po południu z grupą młodzieży i dwojgiem rodziców, którzy nie uciekli i nie uczestniczyli wczoraj we Mszy św., idziemy do Vinantsaha. Znowu przeprawa przez rzekę. Jest godz. 17.00, dzieci z nauczycielem ćwiczą śpiew na liturgię Mszy św. Podobny scenariusz jak wcześniej: dzwon, spowiedź, Msza św. Wieczorem walka ze szczurami. Mam ze sobą truciznę, którą mieszam z ryżem. Rano widzę efekty, kilka szczurów padło. Wcześniej rano dwie dziewczynki przyszły pozamiatać kościół. Uśmiechnięte, żwawo zamiatają, żadnego wrażenia nie zrobiły na nich szczury. Pytam czy w wiosce są koty. Po chwili zastanowienia, odpowiadają, że jest tylko jeden. Nie dziwię się, przecież koty w naszym regionie są uważane za duży przysmak – zwłaszcza na Nowy Rok. Czytam Ewangelię z dnia. Pan Jezus daje instrukcje, co do pracy w buszu: *Aby nic ze sobą nie brali na drogę prócz laski, ani chleba, ani torby, ani pieniędzy, ani dwóch sukien...* Rady bardzo praktyczne i cenne. Każdy kilogram zbędnego bagażu ciąży i męczy. Patrzę na plecak, nie waży więcej niż trzy kilogramy (alba, długie spodnie, trzy koszule z krótkim rękawem, hostie, wino, dokumenty dla nauczycieli, aparat fotograficzny). Nigdy nie noszę jedzenia, bo ludzie dadzą, ani brewiarza, jest w każdej kaplicy (pozostałość



po poprzednich misjonarzach, którzy wrócili do Europy), a ubranie przecież każdego dnia można wyprać, wysycha szybko na człowieku.

Czwartek. W wiosce już od rana duży ruch. Vinantsaha znana jest w całej okolicy z targu. Msza św. po południu, więc korzystam z okazji by spotkać chrześcijan z mojej poprzedniej parafii. Sporo osób mnie poznaje, witają się, ktoś dorzucił: *Ale ksiądz się postarzał*. No cóż, to już ponad 12 lat, gdy nie pracuję w Ranomafana. W południe żona nauczyciela przynosi ryż i kawałki słoniny ze skórą, dla nich to największy przysmak. Przed pierwszym dzwonem przychodzi starsza kobieta, by porozmawiać. Rozmowa toczy się wokół codziennych problemów – zwłaszcza zdrowia, pyta czy nie mam witamin, coś na wzmocnienie. *Najlepszym lekarstwem jest dobre jedzenie* – odpowiadam. Uśmiecha się. Z dalszej rozmowy dowiaduję się, że jest matką dziewięciorga dzieci, chociaż urodziła czternaścioro. Jako córka urzędnika urodziła się i uczyła w Toliaro. *W siódmej klasie*, opowiada, „*tratra fakam-panahy*” (*uległam pokusie*), domyślałam się, że zaszła w ciążę. Ojciec za karę wysłał ją do Vinantsaha (wioska pochodzenia

ojca), czyli około 700 kilometrów od Toliaro, tutaj wyszła za męża. Mąż poganin nigdy nie wszedł do kościoła. Proponuję, że można napisać list do biskupa, aby udzielił pozwolenia dla strony ochrzczonej do przystępowania do sakramentów.

Kościół powoli się wypełnia. Trochę się bałem, że mężczyźni przyjdą podpici (dzień targowy), ale moje obawy były niesłuszne. Sporo spowiedzi, 36 komunii, kazanie krótkie, o błogosławieństwach. Czuję, że słowa: *Błogosławieni, którzy płaczą..., łakną i pragną sprawiedliwości..., miłosierni, którzy cierpią prześladowanie...* chyba nie są zrozumiałe. Tydzień temu w tej wiosce byli żandarmi. Pod pretekstem niezgodności papierów co do jeden krowy, dotkliwie pobili właściciela, zabrali 14 sztuk bydła i pieniądze, cztery i pół miliona franków malgaskich (równowartość piętnastu worków ryżu). W Ambotabe (trzy kilometry) czekają, jest już godz. 17.00. Słaba frekwencja, jedna osoba do komunii. Po Mszy św.



rozmowa z miejscowymi chłopami (dziesięciu) o przyczynie spadku frekwencji w szkole. Dzisiaj, podpowie nauczyciel, było tylko 23 uczniów, w niedzielę troje rodziców na modlitwie. Rozmowę kończę stwierdzeniem, że jeżeli sytuacja się nie zmieni szkołę trzeba będzie zamknąć. Obiecują, że się zbiorą i..., jestem w tym względzie raczej pesymistą. Minimum jakie wymagamy to 40 uczniów i rodzice z dziećmi obecni na niedzielnej modlitwie. Czy spełnią wymagania? Kolacja przepyszna – nietoperz z ryżem.

Piątek. O 5.00 rano wychodzę do Morafeno (pięć godzin i znowu rzeka Manampanihy). Deszcz nie ustaje. Czyżby cyklon, depresja tropikalna? Po drodze mijam pasterzy bydła – dzieci przemoknięte, ale uśmiechnięte. Niesamowite! Tak trzymać mówię sobie. W południe

wchodzę do kościoła w Morafeno. Katechista z młodzieżą przygotowują liturgię, Lola przygrywa na gitarze. Żona nauczyciela przynosi obiad (kurę i ryż), od wczoraj nic nie jadłem. Pytam katechistę kiedy ostatni raz jadł kurę, śmieje się: *Księżę tylko wtedy gdy jest gość*. Msza św. z dnia 2 lutego – Matki Bożej Gromnicznej. W kazaniu wykorzystuję obrazy biblijne, temat: „Chrystus światłością rozpraszającą mroki lęków, przesądów naszego życia obecnego i przyszłego”. Po południu idę z nauczycielem Milson do Mahabo, czekając na łódkę opowiada ostatnie wydarzenie z krokodylem. Młody chłopak łowiąc ryby, nie daleko od miejsca gdzie stoimy, został chwycony za nogę. Miał szczęście, wyrwał się, niestety cała stopa została pokaleczona. Wiem, że będą problemy z leczeniem, rany po krokodylu bardzo ciężko się goją. Tym razem ja też opowiadam, o młodej matce z Antsotso, która dwa miesiące temu, przy brzegu koszem łowiła małe rybki. Krokodyl chwycił ją za ramię. Ostatkiem sił, trzymając się zarośli, w śmiertelnym przerażeniu (sama mi to opowiadała) wyrwała się z morderczych zębów. Czekają ją 30 zastrzyków i to w ciągu dwóch dni, ale jest już dobrze.



Po Mszy św. w Mhabo nauczyciel opowiada o sytuacji w wiosce. Jest trochę rozgoryczony, ktoś mu w nocy ukradł cały maniok z pola. *Teraz w okresie głodu ludzie przestają być ludźmi* – dopowiada. Całą noc pada deszcz. Czy uda się mi odwiedzić ostatnie trzy wioski wspólnoty, gdzie są chrześcijanie?

Sobota. Rano idziemy z nauczycielem Marson nad rzekę, jak zwykle szukać łódki. Woda podniosła się o ok. 10 metrów. Po drodze gorliwe westchnienie modlitewne do Reny Mpilary-dalana (Matki podróżników). Pomogło! W strugach deszczu dopływam do Mangatiaka. Na Mszy św. słaba frekwencja, trzy wioski zostały odcięte wodą od kościoła. Po Mszy coś dla ciała – jajko gotowane na wodzie i jak zwykle ryż. W międzyczasie katechista Bernard wytrwale szuka jakiejś łódki. Przychodzi uradowany, coś znalazł. Znów w strugach deszczu idziemy do rzeki, która rozmiarami przypomina naszą Odrę w Brzegu. Owszem łódka jest, ale z pękniętym dnem. Oczywiście dla nich to żaden problem, wodorostami szybko zapychają szczelinę. Gotowe. Ruszamy. Dla równowagi grzecznie kłęczę pochylony. Za chwilę już po kolana w wodzie. Chyba nie damy rady, lepiej wróćmy jeszcze raz załatać dziurę, podpowiadam. Wracamy, na nowo reperacja, nowa próba. Na środku rzeki mocny nurt i wiry. Oby nas nie porwało i nie zniosło w dół na kamienie i wodospady, z tego raczej byśmy nie wyszli. Trzeba być nie lada wioślarzem i mieć duże doświadczenie by dobrze ustawić łódkę pod prąd. Udało się! Z ulgą odetchnąłem, posyłałem kilka komplementów w stronę wioślarza. Czekam, aż wróci na drugą stronę. *Deo gratias!* Wchodzę do Ampasimena, za czasów koloni francuskiej kantonu z telefonem i pocztą, dzisiaj jest to mało znacząca gmina, z trudnym dojazdem i komunikacją. Od ponad stu lat misjonarze francuscy, później polscy ewangelizują ten region, są efekty. Jest tu sporo chrześcijan gorliwie modlących się i przystępujących do sakramentów. Po Mszy św. przepraszam, że zmienił się program. Wiem, że w sobotę długo czekali na ks. Józefa, który ze względu na zdrowie (spora rana na nodze, która od miesiąca niechętnie się goi) z bólem serca zrezygnował z wyjazdu do buszu. W Tolagnaro siostra szarytka-pielęgniarka zabroniła mi forsownych marszów (ze względu na żyłaki) i przechodzenia przez wodę, by nie zamoczyć rany. Zapewniam mieszkańców, że jest z nami poprzez modlitwę różańcową. Za oknem

nadal pada, ludzie zaczynają się niepokoić o świeżo posadzony ryż, by deszcze nie zmyły sadzonek, jeszcze nie bardzo ukorzenionych.

Mój powrót do Manantenina zaczyna się jawić w dość szarych kolorach. Mam do przeskoczenia ponad 10 mostków, które są na pewno już pod wodą i kilka przejazdów przez strumyki, które teraz stały się małymi rzeczkami. Nie ma się co martwić na zapas i tak, planowany wyjazd do Tolagnaro w poniedziałek, na zebranie pastoralne rozmył się. Wyjechać czy dojechać w tych deszczach do Manantenina to czyste szaleństwo. Noc spokojna ani szczyrów, ani deszczu nie słyszałem.

Niedziela. Rano idę nad rzekę. Woda opadła chyba tylko o jeden metr. Trochę mało. Przygotowuję się do liturgii i kazania. Słowa Izajasza (pierwsze czytanie): *Dziel swój chleb z głodniałym... wprowadź w dom biednych tulaczy...*, będzie trudno wyjaśnić. Przedwczoraj



brat katechisty, Stanisław przyjął do domu nieznanego, który twierdził, że potrafi naprawić radio. Później okazało się, że miał przy sobie fałszywe pieniądze, którymi płacił. Mieszkańcy, gdy się zorientowali, że zostali oszukani, chwycili malwersanta, dotkliwie go pobili i odprowadzili związanego do biura wójta. W nocy, może był źle związany, albo ktoś mu pomógł, gość zniknął. Sprawa doszła do żandarmów. Stanisław musi jutro

iść do Manantenina (26 kilometrów) by wyjaśnić, że nie miał nic wspólnego z gościem, którego przyjął pod swój dach. Po Mszy św. idę z komunią, w strugach deszczu, do babci z Żywego Różańca, później do dziadka, którego sparaliżowało. Towarzyszy mi młodzież. Z wioski, też w strugach deszczu, idę do Amboangy. Niedaleko, tylko trzy kilometry, niestety znów na przeszkodzie stoi rzeka Manampanihy.

Trąbię, może ktoś usłyszy i wypłynie po mnie. Dzieli nas ściana deszczu i odległość około kilometra. Wiem, że czekają na mnie. Jeszcze

trąbię, czekam pod parasolem i nic. Przemoczony wracam do Ampasimena. Może jutro się uda? Pod kościołem spotykam jeszcze zatroskane małżeństwo, szybko orientuję się w czym problem. Ich syn z kolegą, uczniowie naszego gimnazjum, wcześniej rano poszli do Manantenina, by w poniedziałek być na egzaminie. Czy doszli? Pocieszam, przecież po drodze jest kilka wiosek, spokojnie mogą przeczekać deszcz czy nawet przenocować. Brak telefonu, komunikacji nie ułatwia nam życia.

Poniedziałek. Rano idę z katechistą Fidel do Amboangy. Piękna pogoda, ale woda nadal duża. Twierdzi, że można przepłynąć, trzeba mu zaufać. Przepływamy bez problemu. Motor stoi pod drzewem. W wiosce lekkie zamieszanie. Tłumaczą się, że wczoraj z kurą czekali na mnie do wieczora. Dzisiaj to tylko jej wspomnienie. Pierwszy dzwon. Cierpliwie czekam... Po Mszy św. wracam do wioski. Serwują rybki z ryżem, wszystko pochłaniam. Nie wiadomo kiedy dojadę do Manantenina. Dziękuję i ruszam. Ku mojemu zdziwieniu wszystkie mostki się ostały. O 14.00 byłem w domu, gdzie czekał na mnie ks. Józef doglądający budowy internatu dla 100 chłopców oraz ks. Michel, który dwie godziny przede mną przyszedł z buszu i niestety przyniósł smutną wiadomość, o zatonięciu kilku osób w Soavala.

Na zbliżające się zmagania wielkopostne dużo cierpliwości i wiary w to, że warto walczyć o wyższe wartości, nawet gdy otacza nas mierzota, obojętność czy cwaniactwo. *Kochajmy Boga, ale niech to będzie w trudzie naszych rąk i w pocie naszego czoła* (św. Wincenty a Paulo). Z modlitwą i prosząc o modlitwę.

*Ks. Marek Maszkowski CM
Misjonarz z Madagaskaru*



WYWIAD Z KSIĘDZEM JANUSZEM ZWOLIŃSKIM CM

część trzecia

Kiedy wybuchła wojna 1996/1997 i zbliżyła się do Prowincji równikowej, gdzie pracowała większość Konfratrów, przebywał ksiądz w stolicy kraju, w pewnym sensie można powiedzieć miejscu bezpiecznym. Znana jest księdza decyzja, aby być razem z zagrożonymi działaniami wojennymi Konfratrami. Ponieważ samoloty cywilne już nie latały wsiadł ksiądz do samolotu wojskowego i odbył podróż od początku do końca na stojąco. Następnie samochodem pozostawionym przez siostry, które się wcześniej ewakuowały, odbył ksiądz niebezpieczną podróż nocą aż dotarł do Konfratrów. Co księdzem kierowało i co ksiądz wtedy przeżywał? Przecież ten wojskowy samolot mógł zostać zestrzelony. Jak przekonał ksiądz żołnierzy jadących na wojnę, aby zabrali go ze sobą?

W zasadzie dwa razy wracałem z Kinszasy do Mbandaki, by być razem z Konfratrami. Pierwszy raz, gdy przez równikową część kraju przechodziły uciekające wojska, jeszcze wtedy prezydenta Mobutu. Gdy Kabila zajął Kisangani, zdeorganizowane wojska rządowe rzuciły się do ucieczki. Małe grupy uciekinierów, każda na własną rękę, starały dostać się do Kinszasy, ale ponieważ musieli jakoś żyć (a przy okazji odłożyć coś niecoś na niepewną przyszłość), dopuszczały się one prawdziwych rozbojów na miejscowej ludności. Przy okazji uległy zniszczeniu liczne dzieła prowadzone przez Kościół – szkoły, domy zakonne, plebanie, a nawet kościoły.

Przebywałem w Kinszasie, w czasie gdy fala uciekinierów zaczęła zbliżać się do regionu, w którym pracowali nasi Konfratry. Ponieważ żaden z nich nie chciał się ewakuować, postanowiłem jakoś do nich dojechać. Dowiedziałem się, że wyjeżdżający z Mbandaki misjonarze zamówili w Kinszasie prywatny samolot. Dostałem się na niego i byłem jedynym pasażerem, który wysiadł w Mbandace. Wywołało to spore zdziwienie, nie tylko wśród opuszczających ten region księży i siostr, ale również wśród obsługi lotniska.



Następne tygodnie były bardzo nerwowe. Miejscowa ludność bez przerwy sygnalizowała nam obecność grasujących po okolicy uzbrojonych uciekinierów. Jednym z najbardziej zagrożonych miejsc była misja w Iboko, gdzie pracował wtedy ks. Krzysztof Dończyk i ks. Henryk, podeszły w wieku i schorowany misjonarz z Belgii. Gdy zbliżali się uciekinierzy, wielokrotnie opuszczali oni plebanię i chowali się w lesie. W sumie misja jednak nie ucierpiała, dzięki, jak uważa ks. Krzysztof, opiece Matki Bożej od Cudownego Medalika, której poświęcony był tamtejszy kościół oraz przebiegłości miejscowych ludzi, którzy na wszelkie sposoby zwodzili dezerterów dopytujących się o misję.

W samym Bikoro również przeżyłem „wizytę” piętnastu uzbrojonych żołnierzy. Skończyło się jednak na strachu. Najeźdźcy zadowolili się kilkoma puszkami sardynek i kilkudziesięcioma litrami ropy do rozklekotanej terenówki, jaką się poruszali. Mogli zarekwirować znajdujące się wtedy na misji nasze i sióstr szarytek samochody, nie mówiąc już o zapasach paliwa czy żywności.

Gdy sytuacja trochę się uspokoiła musiałem znowu udać się do Kinszasy na święcenia diakonatu jednego z naszych kleryków. Był to

normalny rejsowy lot. Dwa tygodnie później dowiedziałem się, że oddziały Kabili bardzo szybko zbliżają się do naszego regionu. Sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna, nie dlatego że groziła nam jakaś wojna (jak wspomniałem wojska Mobutu, poza kilkoma przypadkami, po prostu bez walki ustępowały terenu), ale dlatego że przed Kabila uciekały również tysiące Hutu z Rwandy. Jak wiadomo główny trzon oddziałów Kabili stanowili Tutsi, którzy po prostu polowali na tych pierwszych, mszcząc się za popełnione przez nich wcześniej zbrodnie w Rwandzie. Tak jak wspomniałeś, znowu zdecydowałem się na powrót do Konfratrów w Bikoro. Przekonać żołnierzy żeby mnie ze sobą zabrali nie było wcale trudne. Załatwili mi to zairscy Konfratry, którzy ofiarowali pilotom małe „matabiszi”, czyli małą zapłatę i już miałem miejsce w samolocie.

Sam lot nie wydawał mi się zbyt niebezpieczny. Był to wprawdzie samolot wojskowy, ale wypełniony beczkami z paliwem i workami z ryżem, mąką i fasolą dla oddziałów, które miały bronić Mbandaki. Po zjedzeniu szybkiego posiłku u Konfratrów pracujących w Mbandace, którzy pobieżnie przedstawili mi sytuację w mieście, niezwłocznie udałem się w drogę do Bikoro. Wtedy zacząłem się bać, bo już kilkanaście kilometrów od miasta, zaczęliśmy mijać zmierzające w stronę Bikoro większe i mniejsze grupy uchodźców Hutu. Wielu z nich ledwie trzymało się na nogach. W ich oczach widać było zmęczenie, głód i strach. Ale szli naprzód, a ci którzy już nie mogli dalej iść, odpoczywali obok drogi. Byli tak wyczerpani, że praktycznie nie reagowali na odgłos nadjeżdżającego samochodu. Niektórzy mężczyźni mieli ze sobą broń palną, granaty, a także maczety.

Na noc zatrzymaliśmy się na misji w Mooto. Gdy w końcu następnego dnia dotarliśmy do Bikoro, przed budynkami misyjnymi zobaczyłem morze rozłożonych prosto na trawie ludzi. Nikt ich nie liczył, ale było ich zapewne dwa albo trzy tysiące.

Wojna Kongijczyków przeciwko dyktatorowi Mobutu była jednocześnie wojną rwandyjskich Tutsi przeciw Hutu, przybyłych do Konga po ludobójstwie w 1994 roku. Ucieczka ludzi z plemienia Hutu przez połowę terytorium Konga, kończyła się dotarciem resztki ocalałych do Bikoro położonego nad jeziorem Tumba, gdzie znajduje się dom pro-

wincjalny. Razem z innymi Konfratrami organizował ksiądz transport uciekinierów przez jezioro, aż do sąsiedniego Konga Brazzaville. To działanie ocaliło życie setek ludzi. Czy nie bał się ksiądz zemsty tych, którym zależało na wymordowaniu tych ludzi? Skąd wziął ksiądz wystarczającą ilość łodzi, aby zamierzenie mogło się powieść? Co stało się z uciekinierami, którzy dzięki księdzu ocalili?

Tych kilka dni pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Co dziwne, nie czułem strachu, ani nie myślałem o konsekwencjach. Po prostu trzeba było stawić czoła tragicznej sytuacji i wypełnić swój obowiązek. Pan Bóg dawał siłę, wspierali mnie Konfratry i paru ludzi z wioski. Reszta się nie liczyła. Widok głodnych i wycieńczonych do granic wytrzymałości ludzi, przede wszystkim kobiet i dzieci, dopingował do działania. Po krótkiej naradzie z przebywającymi na miejscu konfratrami (a obecni byli: ks. Wincenty, starszy i schorowany misjonarz z Belgii, ks. Józef, rodzimy Konfrater z kilkuletnim stażem kapłańskim i kleryk stażysta) doszedłem do wniosku, że przede wszystkim trzeba postarać się o jedzenie dla tych ludzi. Posłałem kilka osób do wioski,



aby od miejscowych ludzi kupić wszystko, co tylko nadaje się do jedzenia. Ponieważ było tego za mało, wysłałem misyjną ciężarówkę z kilkoma miejscowymi chłopakami, by w sąsiednich wioskach kupować co tylko się dało, maniok, kukurydze, ryż, niesłodkie banany, bataty, a także suszone ryby, czy inne produkty.

Czekając na powrót ciężarówki, trzeba było ustalić jakiś plan działania. W tym celu skontaktowałem się z przedstawicielami wioskowej starszyny i miejscowymi gminnymi urzędnikami, a przynajmniej tymi, którzy jeszcze nie zdążyli uciec. Wszyscy byli bardzo wystraszeni zaistniałą sytuacją, jednak zdawali sobie sprawę z tego, że trzeba jakoś tym ludziom pomóc. Na szczęście zjawił się młody lekarz z miejscowego szpitala i kilku nauczycieli, którzy zaofiarowali swoją pomoc. W następnych dniach okazali się oni bardzo pożytecznymi współpracownikami. Podjęliśmy decyzję, by porozmawiać z przedstawicielami uchodźców, aby zapytać o ich plany i w jaki sposób możemy im pomóc. Wytypowali oni spośród siebie kilka osób, przedstawiciele różnych dystryktów Rwandy, miejsca zamieszkania uchodźców. Poprosili o żywność, pomoc lekarską dla najbardziej schorowanych oraz o ułatwienie im dalszej ucieczki, byle dalej od Mbandaki, i grożącego im niebezpieczeństwa. Bo jak już wspomniałem groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo. Tutsi, którzy towarzyszyli oddziałom Kabili, pałali żądzą zemsty na Hutu za zbrodnie, których ci ostatni dopuścili się kilka lat wcześniej w Rwandzie i w czasie, których zginęło ok. 800 tys. Tutsi.

Gdy kilka dni później doszły do nas wiadomości, że Mbandaka została zajęta przez wojska Kabili i kilkaset Hutu, którzy nie zdążyli uciec zostało zamordowanych, jeszcze bardziej uświadomiliśmy sobie że to samo może również powtórzyć się w Bikoro. Jedna ciężarówka z wojskiem w ciągu kilku godzin może dojechać do Bikoro i zrobić „porządek” z uchodźcami i tymi, którzy im pomagali. Po powrocie misyjnej ciężarówki z zakupioną żywnością, poprosiliśmy przedstawicieli uchodźców, by sami zajęli się podziałem tego co udało się zdobyć. Od razu, jak na zawołanie, na murawie pojawiły się małe ogniska i uchodźcy zabrali się do warzenia stawy. Następnego dnia i aż do końca ich pobytu w Bikoro, misja starała się zapewnić im pożywienie, a ponieważ sam maniok i kukurydza nie wystarczały, zde-



cydowałem się zabić kilka krów i rozdawać mięso, szczególnie najmłodszym i najbardziej wycieńczonym. Gdy chodzi o chorych, zadbał o nich miejscowy lekarz, zapewniając potrzebującym podstawowe lekarstwa. Około trzydziestu najbardziej chorych i wymagających szczególnej opieki, znalazło miejsce w szpitalu. Niektórzy z nich byli w takim stanie, że sami nie mogli pokonać kilkuset metrów by dojść do szpitala, trzeba ich było nieść na noszach. Kilkunastu z nich, przede wszystkim dzieci, niestety nie przeżyło, nie byli w stanie kontynuować dalszej drogi razem z innymi. Ale po kilku tygodniach, stanęli na nogach i ukryli się w sąsiednich wioskach.

Najważniejszą sprawą była ewakuacja tych wszystkich ludzi z Bikoro, gdzie w każdej chwili groziła im śmierć z rąk towarzyszącym oddziałom Kabili Tutsi. Sprawa nie była łatwa, bo droga kończyła się w Bikoro, położonym nad brzegiem rozległego jeziora. Bez znajomości terenu, było praktycznie niemożliwe by uchodźcy obeszlili jezioro i kontynuowali ucieczkę. Pozostała przeprawa przez jezioro, a do tego potrzebne były nie tylko małe łódki, które posiadali miejscowi rybacy, ale drewniane barki, przeznaczone do transportu towarów. Akurat

w tym czasie znajdowały się w Bikoro dwie takie barki, które przyplęły z Kinszasy, by skupować produkty rolne, które następnie sprzedawane były w stolicy. Zaczęliśmy rozmawiać z właścicielami, czy nie podjedliby się transportu uchodźców na drugą stronę jeziora (ok. 30 km od Bikoro). Po długich negocjacjach zgodzili się, pod warunkiem, że udostępniemy im potrzebnej do transportu benzyny. Na szczęście mieliśmy na misji trochę zapasów, więc bez wahania zgodziłem się na takie rozwiązanie.



Zaczęły się więc przygotowania do pierwszego rejsu. Jedna barka mogła pomieścić od dwustu do dwustu pięćdziesięciu ludzi, zaś chętnych było co najmniej dziesięć razy więcej. Podejrzewaliśmy, że wszyscy na siłę będą starać się dostać do łodzi, co może skompromitować całe przedsięwzięcie. Dlatego ustawiliśmy ludzi ok. kilometra od portu, prosząc by gęsiego zbliżali się do jeziora. Miejskowy lekarz, o którego pomocy w tych ciężkich dniach już wspominałem, znowu okazał się bardzo przydatny. Po prostu zwerbował kilku zaufanych chłopaków z wioski, dał im broń (którą można było w tym czasie

zbierać w lesie, po prostu tak jak zbiera się grzyby, i poprosił by pilnowali porządku. Widok uzbrojonych ludzi podziałał tak, że Broni, Bogu dzięki, nie trzeba było używać. Gdy ludzie wsiadali do łodzi, nasi dzielni chłopacy przeprowadzali rewizję (niektórzy mieli ze sobą granaty, a nawet broń palną, której oczywiście nie mogli ze sobą zabierać, bo mogło to narazić na niebezpieczeństwo nie tylko ich samych, ale również obsługujących barke). Po wysadzeniu ludzi po drugiej stronie jeziora, barki wróciły następnego ranka, by przetransportować następnych oczekujących na przeprawę. Jednak właściciel jednej z nich powiedział mi, że się boi i już nie wróci do Bikoro, by zabrać pozostałych. Wołał poczekać na rozwój sytuacji w jakiejś spokojnej wiosce po drugiej stronie jeziora. Właściciel drugiej barki, widząc moja troskę o tych, którzy jeszcze czekali na transport, zgodził się odbyć jeszcze trzecią podróż, ale i on zamierzał następnie poczekać gdzieś na lepsze czasy. Pozostali, w sumie kilkaset osób, nie mogli już liczyć na przeprawę przez jezioro. Nie pozostało im nic innego jak próbować obejść jezioro. Kilku mieszkańców Bikoro zaproponowało, że pokażą im drogę. I tak się stało.

Po tygodniu od przybycia uchodźców do Bikoro, pozostało tylko kilku chorych w szpitalu. Mogliśmy odetchnąć z ulgą. Większość uchodźców, kilka miesięcy później, odnalazła się po drugiej stronie rzeki Kongo, już w innym państwie, Republice Kongo, której stolicą jest Brazzaville. Organizacje humanitarne założyły tam prowizoryczny obóz dla uchodźców, w którym pracowały również Siostry Miłosierdzia dojeżdżające z naszego Konga.

Nie wszyscy jednak dotarli za rzekę. Część z nich, szczególnie kobiety z małymi dziećmi, pozostali w okolicach Bikoro. Kilka miesięcy później, z pomocą organizacji humanitarnych oraz naszej współpracy, kilkudziesięciu z nich zdecydowało się na powrót do Rwandy. Znamienne było to, że wśród powracających nie było ani jednego mężczyzny. Tylko kobiety i małe dzieci.

W czasie działań wojennych ciążyła na księdzu, jako przełożonym całej Prowincji wielka odpowiedzialność. Niektóre Zgromadzenia, zwłaszcza żeńskie, również biskup diecezji, gdzie pracowali Konfratry, ewakuowali się do sąsiedniego kraju. Ksiądz pozostawił Konfratrom decyzję o ewakuacji lub pozostaniu. Wybrali pozostanie na miej-

scu. Opatrzność Boża sprawiła, że żaden z nich nie ucierpiał, mimo że wielu przeżyło chwile grozy. Ostatecznie nie ponieśli oni dużych strat materialnych. Jak patrzy ksiądz dzisiaj na ten okres?

Rzeczywiście nie podjąłem decyzji o generalnej ewakuacji wszystkich Konfratrów. Jednak przed nadejściem całej tej zawieruchy, osobiście (konkretnie za pomocą radia), rozmawiałem z każdym Konfratrem proponując, a nawet zachęcając do ewakuacji. Żaden z nich nie wyraził chęci wyjazdu. Wtedy właśnie zdecydowałem się dostać za wszelką cenę z Kinszasy do regionu ich pracy, o czym już wcześniej mówiłem.

Opatrzność Boża, na którą powoływali się Konfratry, motywując ich chęć zostania na miejscu sprawiła, że nikt nie ucierpiał, i nasze misje, w przeciwieństwie do wielu innych parafii i domów zakonnych w tym regionie, uniknęły wszelkich strat materialnych.

Konfratry rzeczywiście przeżyli chwile grozy. Wspominałem już o ks. Krzysztofie Dończyku i przebywającym z nim w Iboko, ks. Henryku, starszym Konfratrze belgijskim, którzy przez kilka tygodni chowali się w specjalnie przygotowanej kryjówce w lesie. Ciężkie chwile przeżył również ks. Stefan Kosek, który, by nie dopuścić do zarekwirowania samochodu misyjnego przez oddziały Kabili, osobiście, przez całe popołudnie i dużą część nocy podwoził napastników w stronę Mbandaki. Później opowiadał mi, że był świadkiem jak ci „żołnierze” dokonywali egzekucji na napotkanych po drodze uciekinierach Hutu. Co wtedy przeżywał, on sam tylko o tym wie. Jednak nad ranem, wycieńczony, ale cały, wrócił samochodem do domu.

Osobiście w Bikoro też przeżyłem „wizytę” uciekających przed walką z Kabilą żołnierzy Mobutu. Któregoś dnia, na misję przyjechał rozklekotany dżip, z którego wyskoczyło kilkunastu uzbrojonych żołnierzy. Z karabinami w rękach otoczyli nasz dom, chcieli rozmawiać z przełożonym. Kiedy do nich wyszedłem, ich dowódca powiedział, że są głodni. Na to zaprosiłem go do salonu mówiąc, żeby trochę poczekał, a przygotujemy im coś do zjedzenia. Gdy już pojedli, zażądał jeszcze paliwa do samochodu, a wyjeżdżając powiedział, że mieli zamiar obrabować misję, ale ponieważ „po dobroci” dostali jedzenie i paliwo, to zadowolili się tym, co im ofiarowaliśmy. Nie wiem czy to nasza postawa skłoniła ich do zmiany pierwotnych zamiarów, czy wpłynęła na to obecność kilkudziesięciu mieszkańców wioski, którzy

na wieść o tym, że misję zaatakowali żołnierze, zaczęli się gromadzić w naszym sąsiedztwie i po prostu stali patrząc, co z tego wyniknie.

Jakiś czas później, chwile grozy przeżyli również księży Bogdan Mordal i Władysław Krzywda, kiedy Bolobo zostało formalnie zaatakowane przez dawnych żołnierzy Mobutu. Po prostu przepłynęli oni rzekę Kongo, gdzie, już w innym kraju, od upadku Mobutu się chronili i zbrojnie zaatakowali kilkutysięczne Bolobo. Stało się to w niedzielę, gdy księży razem z wiernymi byli w kościele na Mszy św. Napastnicy zakwaterowali się na misji na kilka dni. Potem zastąpili ich rządowi żołnierze, którzy przybyli z Kinszasy by odbić miasteczko. Kilkunastu mieszkańców padło ofiarą tej lokalnej wojny. Zaś zarekwirowany przez rządowych żołnierzy samochód misyjny, po akcji praktycznie już nie nadawał się do użytku.

Trudno mi ocenić, czy moja decyzja była słuszna. Mogłem wymusić na Konfratrach ewakuację obsługiwanych misji. Uszanowałem jednak to, co zgodnie proponowali. Pan Bóg nas uchronił od najgorszego. Gdyby jednak któremuś z nas coś się stało, pewnie nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Przez pewien czas był ksiądz Wikariuszem Generalnym diecezji Mbandaka-Bikoro. Można powiedzieć, prawą ręką biskupa Fryderyka Etsou, późniejszego biskupa w stolicy i kardynała. Jakie wspomnienia zachował ksiądz z tego czasu? Jak układała się współpraca z biskupem i klerem diecezjalnym?

Kardynał Etsou został biskupem koadiutorem diecezji Mbandaka-Bikoro kilka miesięcy przed naszym przyjazdem do Bikoro. Od samego początku bardzo interesował się młodymi misjonarzami z Polski, i starał się jak tylko mógł, by ułatwić nam wejście w miejscowe duszpasterstwo, odmienne od tego, które znaleźliśmy w Polsce. Osobiście przez pierwszych kilka lat miałem okazje spotykać go bardzo często. Po prostu, byłem proboszczem w Mooto, misji oddalonej tylko o 80 km od Mbandaki. Biskup regularnie przyjeżdżał do Mooto, by zobaczyć jak sobie radzimy. Często wieczorem, w towarzystwie miejscowych myśliwych, szedł do lasu na polowanie. Zaś następnego dnia, po Mszy św. i spotkaniu z wiernymi, wracał do siebie. Wspominam o tym, by podkreślić, że był bardzo zwyczajnym biskupem, który utrzymywał przyja-



cielskie relacje ze swoimi księżmi, nawet takimi żółtodziobami jak wtedy byliśmy. Równocześnie posiadał on cechy tradycyjnego afrykańskiego szefa, który lubi pokazać, kto tu rządzi i tylko w wyjątkowych sytuacjach pyta się o zdanie innych. Moja nominacja na Wikariusza Generalnego dla Bikoro nie zmieniła charakteru moich przyjacielskich relacji z biskupem. Może tylko częściej dzielił się ze mną swoimi troskami i problemami. Jednak nie tyle dlatego, że chciał poznać moje zdanie na dany temat, ale po prostu po to, że potrzebował przed kimś się wygadać.

Jako szef sam podejmował większość decyzji. A ponieważ w każdej diecezji potrzebny był Wikariusz Generalny, więc mianował Wikariusza, trzeba było różnych Komisji Diecezjalnych, więc mianował członków tych Komisji. Współpraca z księżmi diecezjalnymi dopiero się wtedy zaczynała. Tak na dobre, dopiero wraz z przybyciem do Mbandaki biskupa Fryderyka Etsou, zaczęła się zwiększać liczba seminarzystów i nowo wyświęconych księży. Poza tym w pierwszych latach pracowali oni pod okiem biskupa w Mbandace. Dopiero później zaczęły się nominacje miejscowych księży w parafiach dawnej diecezji Bikoro, czy w terenach tradycyjnie obsługiwanych przez Konfratrów. (C.d.n.)

NIEZNANA JESZCZE AMERYKA ŚRODKOWA



Często się słyzy, że ktoś wyjeżdża do USA, mniej już, kiedy ktoś jedzie na wyprawę do jednego z krajów Ameryki Łacińskiej (Południowej). Nieliczni z naszego kraju podążają Szlakiem Majów na południe od Meksyku, zapuszczają się aż do Hondurasu. Ten bardzo rzadko odwiedzany kraj może poszczycić się fantastyczną kulturą, wybrzeżem i dżunglą. Zwrotnikowy las i zwierzęca obecność w gęstej, parującej dżungli – 1073 km² mahoni i kakaowców, szerokolistnych bananowców, pięknych

orchidei, szeleszczących paproci rozciągają się we wszystkich kierunkach aż po horyzont. Las wznosi się tu, chociaż jest go z każdym dniem mniej, zamieniając i przechodząc w gęste sosnowe zarośla. Nie chodzi tylko o widok przyrody w takiej obfitości, ale też o dźwięk: różnego rodzaju ubarwione ptaki grają jak orkiestra, tukany rechoczą, pancerniki buszują w runie (mam nawet jedną parę w ogrodzie przy domu), a jazgot wyjców wybucha w głębi dżungli. Można spotkać dzikiego jaguara, a płynąc łódką po rzece Patuca w Departamencie Gracias a Dios wygrzewające się w słońcu krokodyle. Małeńkie różnokolorowe ciała kolibrów nurkują z piskiem w kwiatach hibiskusa.

Honduras, kraj położony w samym sercu Ameryki Środkowej jest równie malowniczy z oszałamiającymi warunkami przyrodniczymi. Dominują nad nim łańcuchy górskie, gdzie bierze początek wiele głównych rzek Ameryki Środkowej. Można tu znaleźć ponad 700 gatunków ptaków i 200 gatunków ssaków, żyjących na 80 obszarach chronionych i w 20 ogromnych parkach narodowych. Rozciągająca się na wschodzie La Moskitia, do której można tylko dolecieć samolotem (Wybrzeże Moskitów), to największy i chyba najważniejszy las deszczowy Ameryk poza dorzeczem Amazonki. Miałem sposobność osobistego poznania tego bardzo bogatego regionu, pracując tam w dwóch



parafiach: w Bara Patuca (kościół pw. św. Krzyża) oraz w Puerto Lempira (kościół pw. św. Józefa).

Bogate w minerały rzeki nawożą żyzne równiny, które w V wieku przyciągnęły uprawiających rolę Majów z Gwatemali, a pod koniec XIX wieku znieczyły wszechmocne amerykańskie kooperacje, kompanie bananowe. Właśnie jedna z takich kompanii, Trujillo Raild Road Company, w 1913 r. zagościła na nizinie między dwoma rzekami Sico i Paulaya, w mojej obecnej parafii. Nie wiadomo skąd wywodzi się nazwa Sico. W latach 1913-1930 region Sico zaludnił się i został regionem produkującym banany, wydobywającym złoto i eksportującym duże ilości szlachetnego drzewa. Poprzez bardzo duże i długo trwające ulewę i powodzie Sico zostało opuszczone przez firmę bananową z USA. Region został zapomniany na około 60 lat. Ponowny powrót nowych osiedleńców związany jest z dekretem rządu, który to uznał dolinę Sico Paulaya jako ziemię podlegającą Reformie Rolniczej. Od momentu tego urzędowego dokumentu w roku 1994 obserwuje się nowy napływ przybyszów z pozostałych departamentów Hondurasu. Teren ten, parafii pw. Matki Bożej z Góry Karmel w de-

partamencie Colón, w dorzeczu dwóch rzek: Sico i Paulaya, dał początek nowej emigracji Honduraskiej w tej części kraju.

Honduras szczyty się ponadto 644 kilometrami karaibskiej linii brzegowej, w tym idyllicznymi wyspami Islas de Bahia, z których można podziwiać Środkowoamerykańską Rafę Koralową, największą po Australijskiej. Jednak pomimo licznych atrakcji, Honduras jest jednym z najrzadziej odwiedzanych krajów w Środkowej Ameryce. Dla porównania, o ponad połowę mniejsza Kostaryka przyjmuje ponad dwukrotnie więcej gości. Dzieje się tak z powodu słabej promocji. Gwatemala ma Szlak Majów, Kostaryka ma atrakcje przyrodnicze, a Honduras ma wszystko: historię, naturę i kulturę. Posiada unikalne grupy etniczne, takie jak wyżej wspomniani: Miskitos, Garifonas, Pech, Tawaska, Lenca... i inne, i ma kolonialne miasta, ale turyści o nich nie wiedzą, więc nie przyjeżdżają.

Wspomnę tutaj małe miasteczko Trujillo, siedziba naszego biskupstwa diecezji Trujillo (ks. bp Luiz Sole Fa), gdzie zawitał po raz pierwszy odkrywając Amerykę Krzysztof Kolumb. Jedną z atrakcji ewidentnie pomijanych przez turystów jest Copán. Ponad 3,5 tysiąca ruin z epoki Majów (z okresu V-IX w.), rozsianych jest na terenie ponad 24 km² dżungli w zachodnim Hondurasie, w pobliżu granicy z Gwatemalą. Majowie lubowali się w symbolach i legendach. Dokoła rozsiane były liczne ołtarze, stele i posągi ze skomplikowanymi reliefami, przedstawiającymi bitwy i wizerzenia dynastii szesnastu królów, którzy przez ponad pięć stuleci rządzili ok. 25 tysiącami ludzi biegłych w inżynierii, astronomii i fizyce. Niektórzy uważają Copán za mniej wspaniałe niż Tikal w Gwatemali, jednak jakość i stan zachowania zabytków w Copán jest tak doskonały, że to z nich czerpiemy większość naszej obecnej wiedzy na temat cywilizacji Majów. Copán położone



jest w bujnej dolinie, otoczone ze wszystkich stron przez góry i pagórki, składa się ze stromych uliczek brukowanych wielkimi kamieniami. Jego śliczne, gipsowe fasady i kolorowe hacjendy prowadzą ku wysazanemu palmami rynkowi, nad którym góruje biały kościół.

Szlak pozostałości po cywilizacji Majów, która rozpoczyna się na południe od Półwyspu Jukatan, prowadzi przez Meksyk, Belize do Gwatemali i Hondurasu (między III i XV w. n.e.). Majowie nie stanowili ujednoczonego państwa, duże grupy ludności zostały zorganizowane w kilka niezależnych miast – centrum, które miało kontrolę nad mniej lub bardziej rozległym terytorium. Nie mówili w jednym języku. Budynki Majów zasadniczo zostały wykonane z drewna i z kamienia. Wykonali wszelkiego typu konstrukcje: pałace prostokątne, świątynie, wydzielone obszary do gry w piłkę, które się toczyły między dużymi miastami, fortyfikacjami. Powstałe wały i piramidy z kamienia zachowały się do dziś, ze świątyniami włącznie. Zostały one ozdobione malowidłami z szeregiem różnorodnych kolorów. Majowie mieli bardzo dokładny harmonogram na 365 dni w roku. Rok słoneczny (*haab*) miał 18 miesięcy i 20 dni, a jeden tylko pięć dni. Nazwy miesięcy były: Pop, Uo, Zip, Zotz, Tzec, Xul, Yaxkin, Mol, Chen, Yax, Zac, Ceh, Mac, Kankin, Moan, Pax, Kayab, Cumbu i Uayeb. Elity społeczne stanowili kapłani i znaczący mieszkańcy, mający miejsce zamieszkania w tym mieście (które było również centrum religijnym). Rolnicy mieszkali na terenach wiejskich zbliżonych do podstawy miast.

Główną bazą gospodarki było rolnictwo i karczowanie dżungli na nowe plantacje. Podstawowe uprawy to kukurydza, bawełna i jak również kakao. Niewolnictwo istniało. Zakłada się, że to niewolników zmuszało się do pracy przy budowie piramid, ale wspomagani byli przez rolników. Istniały również grupy specjalistyczne rzemieślników. Nie wszyscy Majowie mówili tym samym językiem. Warto jeszcze odnotować, że Majowie uprawiali grę sportową, która można przyrównać do dzisiejszej piłki nożnej. Według niektórych odkrywców ci, co uczestniczyli w grze byli najczęściej wojennymi więźniami, i w przypadku przegranej byli ścinani. W rzeczywistości było to coś więcej niż gra, rozrywka, była to ceremonia religijna, przedstawiająca przejście, przechodzenie gwiazd, planet i słońca (reprezentowanego przez piłkę), która jest źródłem życia.

Oprócz Majów na terytorium Hondurasu można spotkać inne rodzime społeczności, np. wspomniana już nazwa społeczności tubylczej Lenca, jest największą honduraską rdzenną grupą ludności. Populacja Lenca liczy około 100 tysięcy ludzi. Ich tradycje i wierzenia są okryte mgłą tajemnicy i pochodzą sprzed trzech tysięcy lat, podobno jednak Indianie ci czczą słońce i wierzą w świętość przyrody. Ich kultura i wierzenia przypominają mi społeczność tubylczą z Gór Andów, Aymara z Boliwii i Peru w Ameryce Południowej, gdzie krajobraz jest bardzo bujny i soczysty.

Na terenie mojej parafii można bardzo często spotkać wioski, gdzie jeźdźcy w sombrerach zaganiają bydło galopując na koniach i wywijając lassem. Tutejsze świeżo zbierane ananasy, mango, banany i inne owoce cytrusowe mają aromat zupełnie nieporównywalny z tym, co można kupić w Europie. Większość zagranicznych turystów przybywa do Hondurasu ze Stanów Zjednoczonych, lądując na którymś z niewielkich, sprawnie zarządzanych lotnisk w San Pedro Sula, La Ceiba, albo w stołecznej Tegucigalpie. Honduras ma doskonałą sieć połączeń krajowych. Lot na największą z wysp Islas de la Bahia, Roatan, to kwestia zaledwie 30 minut, chociaż jeszcze ich nie znam. Wyspy mają ciekawą historię. Choć Honduras był częścią hiszpańskiego imperium, Islas de la Bahia były rządzone głównie przez Brytyjczyków (od 1643 do 1872 r.). Były też domem enklawy „Piratów z Karaibów” – na Roatanie w połowie XVII w. mieszkało nawet 5 tysięcy wyjętych spod prawa obywateli. Ostatnio wypoczywała tu, jak doniosła tutejsza prasa, jedna z Hollywoodzkich gwiazd, aktorka z USA. Dziś największą atrakcją jest nurkowanie. Rafa rozpoczyna się tuż przy brzegu. Można do niego dotrzeć w ciągu kilku minut bez butli tlenowej. To tyle, jeśli chodzi o piękny jeszcze nie odkryty przez wielu Honduras.



Proponuję również, abyśmy popatrzeni na Honduras nie tylko okiem turysty, ale okiem osoby która tam mieszka i żyje. Przykładem niech będzie moja parafia Sico w Departamencie Colón, w Diecezji Trujillo.

Wioska Sico, jak każda inna w parafii Matki Bożej z Góry Karmel, nie różni się specjalnie od innych, z wyjątkiem konstrukcji lepszych domów i tym, że jest wioską największą. Podstawowy dochód to rolnictwo, w szczególności hodowla bydła, co się wiąże generalnie z produkcją mleka i sera. Jednak najbardziej niechlubną stroną jest dość duży przepływ narkotyków. Z tym wiąże się wszelkiego rodzaju rozbój: napady, porwania, pranie brudnych pieniędzy, przekupstwo i niekiedy morderstwa... W Hondurasie oficjalnie każdy obywatel może posiadać pięć typów broni palnej. Kiedy przejeżdżają auta z bandami, które zajmują się handlem, czy przemytem narkotyków, można z łatwością zaobserwować, że broń, którą posiadają i która jest z przemytu jest o wiele bardziej nowoczesna od tej, którą ma wojsko czy policja. Kolejny typ przemytu i czarny rynek bronią. Dzisiaj słyży się opinie i debaty o ograniczeniu przez rząd broni palnej do dwóch sztuk.

Nowoczesność, która jest obecna na każdym kroku, poprzez produkty techniki: telefony komórkowe, anteny satelitarne, samochody, motocykle i inne środki transportu, zmieszana jest z tradycyjnymi stylami życia. Większość tubylców porusza się konno lub na mułach, bardzo dużo osób przygotowuje jeszcze posiłki szukając chrustu, choć niemała ilość gotuje na gazie. Śmiech mnie ogarnia, kiedy codzienne widzę jadących na koniach lub mułach i rozmawiających przez komórkę. Niekiedy na ulicy czuję się jak na dzikim zachodzie. Kiedy dochodzi do gry w piłkę nożną dwóch ekip. Po każdym голу, niektórzy kibice wystrzelują na wiwat serie z broni palnej, z którą co niektórzy nie rozstają się na krok. Na terenie całej parafii coraz częściej spotyka się korzystanie z energii słonecznej. Niektóre wioski, dzięki pomocy organizacji pozarządowych otrzymały za małą dopłatą panel słoneczny z baterią i dwiema żarówkami. Sprzedawcy niejako automatycznie zakupili anteny paraboliczne i telewizory, i dosłownie wszyscy „patrzają” na wszystko. Jak wiemy w obecnej dobie życia w środkach masowego przekazu nie ma limitu i większość programów jest ukierunkowana na sex i przemoc. W ciągu krótkiego czasu mogłem zaob-



serwować jak zmienia się model życia i mentalność w niektórych wioskach. Kiedyś po zachodzie słońca widziało się tylko oświetlone domy przez świeczkę lub lampę naftową, dziś jest nie tylko elektryczność, ale i telewizja, a przed nią całe rodziny wpatrzone w telenowele.

Na terenie misji mam dość duży ogród, a w nim drzewa owocowe, jak pomarańcze oraz trochę drzew, które zasiały się same, jest niemała ilość bananów. Niektóre drzewa są już duże i przy gwałtownych i silnych wiatrach zagrażają domostwu. Każdego roku istnieje zagrożenie wylaniem dwóch rzek, a co za tym idzie straty materialne, a niekiedy ofiary ludzkie. 1 listopada 2009 r., po dwutygodniowych obfitych opadach, obie rzeki wylały, zalewając wioski. Poprosiłem jednego pana, który wie jak przykładać siekiere do drzewa, aby ściał kilka i aby upadły w określonym i wyznaczonym kierunku. Na drugi dzień pojawiła się druga osoba prosząca mnie o skorzystanie z powalonego pnia, aby zrobić deski. Ta druga osoba przysła już z piłą mechaniczną.

Dlaczego piszę o nowoczesności, która miesza się z tradycyjnymi formami życia? Ponieważ odzwierciedla to również stan duchowy. „Ekspansja” Pisma Świętego i tłumaczenie go na języki lokalne, wy-

wołała „show” biblijny. Bardzo dużo sekt powstało na bazie wolnego i liberalnego przekazywania prawd biblijnych. Również niektórzy tutejsi katolicy są w mentalności swej więcej zbliżeni do protestantyzmu i sekciarstwa jak do katolicyzmu. Dla miejscowego katolika niepójście na niedzielną Mszę św. nie robi aż takiej różnicy, nie widzi w tym swej winy. Nie zapomnę Świąt Wielkanocnych w 2009 roku. W Niedzielę Wielkanocną, rano, godzinę przed Mszą Zmartwychwstania Pańskiego, przychodzi ojciec rodziny katolickiej w gumowych butach z dwójką swych dzieci chcąc siekierą ścinać drzewa na zarobek i to na terenie kościelnym. Albo inna osoba katolicka, prosząca mnie o drzewo i chcąca pracować w niedzielę. Muszę wspomnieć o agentach duszpasterstwa katolickiego, o panach lub paniach, którzy mają bardzo duży wpływ i zarazem ich obowiązkiem jest kierowanie liturgią niedzielą, delegatów słowa Bożego, pod nieobecność księdza. Większość z nich, co niedzielę objaśnia teksty liturgiczne społeczności lokalnej, ale jego czy jej dzieci są tylko ochrzczone i niejednokrotnie przynależą już do innych sekt.

Bolączką tutejszego Kościoła, ale i również rodzin w społeczności jest wręcz uchylanie się od jakiejkolwiek odpowiedzialności. Co się z tym łączy na wszystkich stopniach społeczności honduraskiej dominuje i to na bardzo dużą skalę korupcja. Co mnie uderza i z czym nie mogę się zgodzić, jest to, że mężczyźni nie biorą odpowiedzialności rodzinnej, społecznej czy kościelnej, więc kobiety są niejako zmuszone brać na siebie większą odpowiedzialność, płęć męska uchyla się, unika tego. W ubiegłym roku mieliśmy 11 Pierwszych Komunii Świętych. Zaczynało katechizację ponad 20 dzieci, jednak bez pomocy rodziców czy rodziny niektóre się zniechęciły. Na ostatni egzamin przyszło 12 dzieci. Jeden w ostatniej chwili się zniechęcił i odszedł. Odwiedziłem rodziców, namawiając ich, aby zmobilizowali swego syna, jednak jego matka, katoliczka odpowiedziała mi, że jeśli on nie chce to nie musi, a jego własny ojciec mówi mu, że przecież nie potrzebuje tego, jeśli nie chce.

Jednym z ostatnich przykładów tutejszej mentalności jest historia pewnego chłopca w wieku 12 lat. Dwa tygodnie temu wyjechałem parafialnym samochodem po ks. biskupa. Aby wyjechać z Sico, trzeba przepłynąć na tratwie. Na tejże tratwie oprócz dwóch pracowników

był ów chłopiec. Pytany, dlaczego nie jest w szkole, odpowiedź była tylko jedna i bardzo często tutaj się powtarzająca, bo nie lubi i nie chce. I tak, chociaż szkolnictwo istnieje, na większym czy mniejszym poziomie, to jednak toleruje się tutaj analfabetyzm chciany.

Z czasem rozpoczynającego się tegorocznego Wielkiego Postu rozpoczynamy misję parafialną na wioskach. Był czas przygotowawczy, teraz już ze wspomnianymi wyżej agentami słowa Bożego, będziemy wioska po wiosce wizytować i propagować Ewangelię Chrystusa Pana. Nie będzie łatwo, bez odpowiedzialności, z dozą podejrzenia i z sektami w każdej wiosce. Pomimo takich warunków trzeba mobilizować tutejszą społeczność katolicką i nie tylko. Misja Chrystusa Pana w XXI wieku trwa.

*Ks. Rafał Brukarczyk CM
Misjonarz w Hondurasie*



VINCENTIANA I MISJE



Staramy się wykorzystywać wszystkie możliwe okazje do pogłębiania świadomości misyjnej wśród wiernych, a zwłaszcza dzieci i młodzieży. Tak również było podczas XXVII Przeglądu Piosenki Religijnej – Vincentiana (30.04-2.05.2011), która została zorganizowana przez kleryków naszego Zgromadzenia. Miejscem tegorocznego Przeglądu były Piekary koło Krakowa, a dokładnie Centrum Edukacyjne Radosna Nowina 2000.

W tym roku na Vincentianie zgromadziło się około 400 młodych ludzi z całej Polski. Nie zabrakło „Kącika Misyjnego”, który miał służyć do zachęcenia zainteresowaniem się misjami zagranicznymi, a co za tym idzie do aktywnej działalności w dziele ewangelizacji całego świata. Wśród materiałów, znajdowały się m.in. filmy dokumentalne z misji *ad gentes*, zdjęcia upamiętniające działalność ewangelizacyjną na wszystkich zamieszkałych kontynentach świata, zbiór archiwalnych numerów „Wiadomości Misyjnych”, różańce misyjne, książki, broszury, obrazki i inne. Zainteresowani mieli również możliwość śledzić projekcję zdjęć i filmów przedstawiających działalność misjonarzy naszego Zgromadzenia.

Za wszelką ofiarę pieniężną, a przede wszystkim pamięć modlitewną i ofiarowane cierpienie, składam serdeczne BÓG ZAPŁAĆ!

Kl. Jacek Międlar



PROJEKT ZAKUPU MOTORU DO ŁODZI DLA KSIĘDZA MARKA MASZKOWSKIEGO - MADAGASKAR

W rozległej misyjnej parafii Manantenina na Madagaskarze, niezbędnym środkiem transportu jest łódź. Ks. Marek wielokrotnie wspomina o trudnościach przeżywanych w drodze z powodu motoru do łodzi, który służy już 15 lat i niestety niejednokrotnie zawodzi, czyniąc niekiedy podróż niebezpieczną. Łodzią ks. Marek dociera sam do wspólnot rozrzuconych po buszu, przewozi nią materiał służący do budowy kaplic i szkół, wracając na stację misyjną zabiera chorych potrzebujących opieki medycznej. Pragniemy pomóc ks. Markowi w zakupie nowego motoru, który kosztuje 2500 €. Mamy nadzieję, że uda nam się to uczynić pomagając w ten sposób zarówno misjonarzowi jak i Malgaszom, przemieszczać się szybciej i bezpieczniej.

Można wesprzeć projekt zakupu motoru do łodzi dla ks. Marka, przesyłając na konto bankowe sekretariatu dowolną ofiarę z zaznaczeniem «motor do łodzi dla ks. Marka».

Bank PEKAO SA: 31 1240 4533 1111 0000 5433 2487
SWIFT CODE (dla wpłat z zagranicy): PKOPPLPW

adgentes.misjonarze.pl



STRONA INTERNETOWA ZAWIERA

aktualności z misji zagranicznych

galerie zdjęć

teksty i wersja audio modlitwy różańcowej w ponad 30 językach

wspomnienia misjonarzy

historia misji w pigułce

misyjne ABC

archiwalne numery “Wiadomości Misyjnych”

blogi internetowe misjonarzy z Chin i Papui Nowej Gwincei

